

**Bob Leman**

# **Czas robaka**

*przekład : Arkadiusz Nakoniecznik*

S&C

EXLIBRIS

Jakieś osiem czy dziewięć lat temu w Sturkeyville mieszkał człowiek nazwiskiem Harvey Lawson, którego żona była robakiem.

Należy to rozumieć zupełnie dosłownie: była czerwonobrazowym, wielocłonowym robakiem długości około pięciu stóp, o chitynowym szkielecie zewnętrznym, niezliczonej ilości krótkich odnóży od spodu i złowieszczych, ostrych szczękach z przodu. Tak wyglądała jej naturalna, stała postać. Jednak w dzień, a dokładniej mówiąc od wschodu do zachodu słońca, przybierała postać kobiety i w tym przebraniu pokazywała się publicznie jako żona Lawsona. Ludzie zaakceptowali ją w tej roli, chociaż miała opinię osoby nadzwyczaj ekscentrycznej i bardzo niesympatycznej.

Wielu ludziom trudno jest uwierzyć w fakt pojawienia się takiej istoty w małym, amerykańskim miasteczku. Plotki na ten temat dochodziły nieraz z bardziej gorących szerokości geograficznych, na przykład z Dalekiego Wschodu, ale nigdy z samych Stanów Zjednoczonych. W związku z tym Lawson nie mógł zwrócić się do nikogo o pomoc, jeśli nie chciał, żeby wzięto go za szaleńca, a poza tym i tak nie byłby w stanie tego dokonać, bowiem robak utrzymywał jego umysł pod ścisłą kontrolą i ukarałby go okrutnie, gdyby Lawson spróbował ujawnić fakt jego istnienia.

Zanim została jego żoną, była jego matką. Lawson nie pamiętał swojej prawdziwej matki, ale wydawało mu się, że może sobie przypomnieć chwilę, kiedy nagle zniknęła,

a zamiast niej pojawiła się imitacja. Był wtedy mały i często płakał, kiedy więc zobaczył ją po raz pierwszy zaczął szlochać, ale od razu doświadczył na sobie siły robaka; jego przerażenie rosło i wreszcie zamieniło się w ślełą panikę, lecz mimo to nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. W swojej głowie poczuł nagle obecność jakiegoś obrzydliwego intruza, który momentalnie zapanował nad jego ciałem, rozluźniając struny głosowe i zamykając usta. Na zewnątrz nie wydobył się ani jeden z rozpaczliwych wrzasków; robak nie lubił głośnych, długotrwałych dźwięków.

Prawdziwa matka już nie wróciła, natomiast imitacja pozostała. Z początku wcale nie przypominała prawdziwej matki, ani nawet prawdziwej kobiety, ale z czasem upodobniła się do istoty ludzkiej i możliwe nawet, że dla kogoś obcego niczym nie różniła się od jego matki, ale mały Harvey Lawson nie dał się zwieść i od tamtej chwili odczuwał nieustający, potworny strach.

Ojciec był prawdziwy, ale nie mógł pomóc swemu synowi, podobnie jak nie mógł pomóc sobie samemu. Robak zapanował nad nim całkowicie, tak że przez większość czasu ojciec nie był tym samym ojcem, którego znał Harvey, ale czasem chwyt stawał się nieco lżejszy i wtedy mógł być sobą. Właśnie te chwile Harvey najbardziej lubił wspominać; stanowiły chyba najbliższy odpowiednik szczęścia, którego nie dane mu było zaznać. Kiedy był mały, siadali po prostu i obejmowali się mocno, dopóki twarz ojca nie przybrała znowu

ziemistego, sflaczałego wyglądu. Odsuwał wtedy swego syna i wstawał, żeby wypełnić polecenie robaka. Kiedy Harvey urósł, rozmawiali tak długo, jak mogli.

Moglibyśmy uciec, tato.

Już próbowałem. Ty tego pewnie nie pamiętasz. Sprowadził mnie z powrotem i ukarał ciebie. To było okropne. Już nigdy nie odważę się spróbować.

Więc co zrobimy?

Nie wiem. Coś na pewno. To nie może tak trwać. Mój biedny, mały chłopczyk.

Kiedy miał czternaście lat, ojciec wreszcie zrobił to „coś”. Powinien był wiedzieć, co mu grozi i chyba wiedział, ale żaden człowiek nie byłby w stanie znieść tego, co on, a poza tym nie był już w stanie jasno myśleć. Pewnego dnia zapomniał o tym, o czym pamiętał przez tyle lat: że kara za nieudaną ucieczkę spadnie na jego syna. Zapomniał o tym, zabrał chłopca i spróbował uciec. I zginął.

Jechali samochodem na wieś po warzywa, którymi Wylie Lawson karmił robaka. Robak nie jadł, gdy znajdował się w ludzkiej postaci, ale nocą, zagrzebany w swojej jamie, przeżuwał bezustannie rzepę, marchew i buraki. Wylie Lawson podejrzewał, że farma, na której kupował warzywa znajduje się blisko granicy zasięgu mocy robaka, bowiem kilkakrotnie wyczuwał jej znaczne wahania, kiedy znajdował się w pobliżu tego miejsca. Tego dnia, zamiast skręcić do bramy, wdusił pedał gazu w podłogę.

Trzeba pamiętać, że już od dawna znajdował się na krawędzi szaleństwa; był świadkiem śmierci swej ukochanej, młodej żony i widział, jak jej miejsce zajmuje topornie wykonana imitacja, czuł w swoim umyśle obecność obcej inteligencji przypominającej oślizłego, cuchnącego ślimaka, zdawał sobie z przerażeniem sprawę, że nie jest w stanie przeciwstawić się jego rozkazom, obserwował, jak jego syn wyrasta na podobną do niego; udreńczoną marionetkę, na życiowego rozbitka nie mającego żadnego kontaktu z rzeczywistością i wreszcie miał okropną świadomość, że nic nie może na to poradzić. Żył z tą świadomością przez dziesięć lat i wreszcie nie wytrzymał.

Wdepnął w pedał gazu i samochód skoczył z rykiem silnika do przodu.

– Tatusiu, co ty robisz? – wykrzyknął Harvey, jednocześnie uradowany i przerażony.

– Uciekam! Uciekamy, Harvey! Zostawiamy go!

Jeszcze mówił, kiedy śmierzący śluz zalał jego umysł, a stopa raptownie nacisnęła hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Silnik zgasł.

Jednak jego przypuszczenia, że wraz z rosnącą odległością malała moc robaka, nie były zupełnie pozbawione podstaw. Z olbrzymim wysiłkiem udało mu się otworzyć drzwi i wypelznąć na szosę.

– Wsiadaj! – szepnął ochryplym głosem do Harveya. Będziemy biec.

Wstał z trudem na nogi. Cała moc robaka

skoncentrowała się na nim i Harvey poczuł, że jest niemal wolny. Wskoczył z samochodu i chwycił ojca za ramię.

– Biegnij, tatusiu! – błagał przez łzy. We dwóch ruszyli powoli przed siebie, byle dalej od miasta, byle dalej od domu, w którym mieszkał robak.

Dla Wylie'ego Lawsona każdy krok stanowił osobną, wielką bitwę i możliwy był po pokonaniu bezwzględного, kontrolującego go umysłu. Zacisnąwszy zęby i pięści zmuszał swoje stopy do posłuszeństwa, aż wreszcie jego obciążone nadmiernie serce zatrzymało się i upadł na drogę, martwy i nareszcie wolny. Udało im się oddalić od samochodu nie więcej niż o dziesięć stóp.

Wówczas cała odrażająca siła umysłu robaka zwróciła się przeciw Harveyowi, który najpierw zatoczył się, niemal upadając, a potem wyprostował, zawrócił i z obojętną twarzą i pustymi oczami powlókł się w kierunku miasta. Przeszedł mniej więcej dwie mile, kiedy zrównał się z nim radiowóz.

– Nazywasz się Lawson, synu? – zapytał milicjant.

Harvey nie zatrzymał się ani nie spojrzął na samochód, tylko człapał dalej przed siebie, nie dostrzegając sunącego obok niego radiowozu.

– Wsiadaj do wozu, chłopcze – powiedział milicjant: Odwieziemy cię do domu. Matka będzie cię potrzebować.

Harvey nie reagował.

– Jest w szoku – odezwał się kierowca. – Nie wie, co robi. Wsadź go lepiej siłą.

Chłopiec opierał się ze wszystkich sił, kopiąc i

wymachując ramionami. Był duży jak na swoje czternaście lat, więc zdążył nieźle posiniaczyć policjanta, zanim ten zdołał wciągnąć go na tylne siedzenie.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze? – zapytał, zadyszany. Chcemy cię tylko odwieźć do domu.

Na pustej do tej pory twarzy Harveya pojawił się nagle wyraz przerażenia i rozpacz.

– Moja matka jest... była... – wykrztusił przez ściśnięte gardło. – Pomóżcie mi... .

– Oczywiście, chłopcze. Co możemy zrobić?

Ale robak tymczasem odzyskał już pełnię władzy i twarz Harveya znowu zamieniła się w niewzruszoną maskę.

– Proszę, zawieźcie mnie do domu – powiedział bezdźwięcznym głosem.

– Jasne, synu. – Zawieźli go do domu i od tego momentu dla Harveya Lawsona zaczęło się niemal dziesięć lat piekła. Oczywiście już od dziesięciu lat miał do czynienia z robakiem, gdyż ten zjawił się, kiedy Harvey miał nieco ponad cztery lata – zjawił się, zabił jego matkę i zajął jej miejsce. Jednak główną marionetką pozostawał przez ten czas jego ojciec, natomiast nacisk na chłopca był stosunkowo niewielki. Pełny ciężar dominacji robaka odczuł dopiero wtedy, kiedy ojciec już nie żył.

Za jego życia rozmawiali, kiedy im na to pozwalano, o swoim osamotnieniu, beznadziejnym męczeństwie. Pod koniec umysł Wylie'ego Lawsona zaczął trzeszczeć pod potwornym ciężarem i w chwilach pozornej wolności,

kiedy mógł mówić ze swoim synem, powracał wciąż do okoliczności towarzyszących pojawieniu się robaka, ożywiając ponure wydarzenie, od którego zaczęło się ich nieszczęście.

Wylie Lawson i jego żona, obydwój świeżo po studiach, przybyli do miasta, ponieważ Wylie został zatrudniony w miejscowej odlewni jako inżynier metalurg. W pracy powodziło mu się dobrze, więc kiedy urodził mu się syn, kupił działkę i wybudował dom. Trudno by znaleźć szczęśliwszą rodzinę; byli młodzi, przystojni i dawali się lubić. Oni zaakceptowali miasteczko, a miasteczko zaakceptowało ich. Stare rody – szczególnie Hodge'owie, do których należała odlewnia – polubiły ich i starały się jak najbardziej ułatwić im życie.

Jednak właśnie dobre serce Hodge'ów legło u podstaw całego nieszczęścia. Will Hodge, najstarszy z braci i zarazem przewodniczący rady nadzorczej, poczuł się niemal opiekunem Lawsona i pomógł mu urzeczywistnić jego zamiar wybudowania domu, sprzedając po niezwykle niskiej cenie należąca do rodziny działkę przy Wetzel Avenue. Nie zrobił tego jednak bez ukrytych zamiarów; działka, chociaż duża i znakomicie położona przy najelegantszej ulicy miasta, od lat nie mogła znaleźć nabywcy. Po okolicy krążyła nie wiadomo jak stara plotka, że coś jest z nią nie w porządku i że próba osiedlenia się tam sprowadzi na właściciela same nieszczęścia.

Ale Lawson był w miasteczku nowy, ponieważ zaś w



ten przesąd wierzyli tylko ci, którzy wysali go z mlekiem matki, nie zwlekając wybudował dom i wraz z rodziną się do niego sprowadził. Zło pojawiło się w rok później.

Wieczór zaczął się pogodnie, tak jak wszystkie wieczory w tym domu. Zjedzono obiad, mały Harvey został położony spać, zaś Lawsonowie wymienili między sobą dyskretne znaki świadczące o tym, że najprzyjemniejsza część wieczoru dopiero na nich czekała po położeniu się do łóżka. Na razie usiedli na kanapie, by przez godzinę lub dwie pooglądać telewizję.

Annie Lawson poszła do kuchni, może po szklanek wody. W chwilę później Wylie usłyszał dziwny odgłos, jakby zduszony, nie wyartykułowany do końca krzyk. Był to ostatni dźwięk, jaki wydała w życiu jego żona. Zerwał się z miejsca i popędził do kuchni.

Robak już tam był. Wypełzył z piwnicy po schodach i wciągnął do kuchni mniej więcej trzy czwarte swego ciała, tak że bezlitosne, wielościenne oczy znajdowały się na wysokości i bioder człowieka. Annie Lawson przyglądała mu się z zamartwieniem na twarzy wyrazem nieopisanego przerażenia; w chwili, kiedy Wylie wpadł do środka, osunęła się na podłogę.

Lawson z pewnością wpadłby w panikę, gdyby nie to, że jego żona leżała na podłodze, nie dając znaku życia. Rozejrzał się błyskawicznie w poszukiwaniu jakiejś broni, niczego nie znalazł, więc rzucił się na robaka z gołymi rękami. W tym samym momencie poczuł, jak coś niewypowiedzianie obrzydliwego wślizguje się do jego

mózgu i jego rozpaczliwy skok zamienił się w bezradny podryg, po którym padł na podłogę obok swojej żony.

Kiedy się obudził, wciąż czuł w swojej głowie czyjąś obecność, ale jakby bardziej dyskretną – wiecznie czuwający strażnik, który donosił robakowi o tym, co strzeżona robi, a także, do pewnego stopnia, o czym myśli. Już do końca swoich dni miał być skazany na współżycie z tym budzącym odrazę donosicielem, pasożytniczym systemem alarmowym, uruchamiającym w razie najmniejszego nieposłuszeństwa narzędzie okrutnej kary. Od tej chwili był niewolnikiem.

Przekonał się o potędze robaka niemal natychmiast po odzyskaniu przytomności. Zerwał się na nogi, próbując przypomnieć sobie, skąd znalazł się na podłodze w kuchni, a kiedy udało mu się, krzyknął przeraźliwie „Annie!” i zaczął biegać od pokoju do pokoju, na dół i w górę (mały Harvey spał spokojnie), do piwnicy (gdzie zobaczył nisko w ścianie dziurę o średnicy mniej więcej dwóch stóp), a potem z powrotem do kuchni. Cały czas wydawał ciche, przerażone jęki.

– Policja – powiedział na głos. – Muszę zawiadomić policję!

Wziął do ręki słuchawkę. Na to robak nie mógł pozwolić. Nie można, rzecz jasna, stwierdzić z całą pewnością, na ile rozumiał wtedy poszczególne słowa i pojęcia. Można jednak przypuszczać, że jego znajomość języka była jeszcze wówczas mocno ograniczona i że najprawdopodobniej wyczuł po prostu, iż Lawson usiłuje

wezwać pomoc i ma zamiar poinformować innych o jego istnieniu. W każdym razie w chwili, kiedy Wylie podniósł słuchawkę uderzył w niego z taką siłą, że Lawson ponownie stracił przytomność.

Kiedy tym razem doszedł do siebie zobaczył, że koło niego stoi jego syn. Przez okna wpadał do wnętrza blask porannego słońca.

– Tatusiu, dlaczego śpisz na podłodze? – zapytał chłopiec.

Lawson nie odpowiedział, tylko chwycił go w objęcia i rzucił się do drzwi. Otworzył je raptownie, wybiegł przed dom i popędził w stronę ulicy. Udało mu się przebyć około pięćdziesięciu jardów, zanim robak go zatrzymał; teraz potrafił już lepiej kontrolować swoją siłę, więc Lawson nie stracił przytomności, tylko przystanął, odwrócił się i nienaturalnym, sztywnym krokiem wrócił do domu. Jego twarz przypominała sflaczałą, obwisłą maskę.

W taki właśnie sposób zapoznał się z uczuciem zniewolenia, które miało mu odtąd towarzyszyć przez całe jego życie. Nigdy nie dane mu już było ujrzeć żony ani zobaczyć robaka w jego naturalnej postaci, ale niewidzialny strażnik na zawsze zagnieździł się w jego umyśle i gdy Lawson nie wykonywał w należyty sposób poleceń lub usiłował się im przeciwstawić, był surowo karany: śmierdzący muł zalewał mu niespodziewanie mózg, blokując wszystkie zmysły, wywołując nieopisany wstręt i nienawiść, i zamieniając go w bezwładną

marionetkę.

W ciągu pierwszych dni wykształcił się pewien *modus vivendi*; robak nie miał najmniejszego pojęcia ani o zwyczajach ludzi, ani o świecie, w którym żyli, lecz jednocześnie potrafił bezbłędnie przewidzieć wszelkie zagrożające mu niebezpieczeństwa i znaleźć sposoby samoobrony. Można się tylko domyślać, jak bardzo był inteligentny i czy zachodzące w jego umyśle procesy można by w ogóle mierzyć miarą inteligencji, ale w każdym razie zawładnął całkowicie mózgiem Wylie'ego Lawsons i nauczył się odczytywać wszystkie myśli i zamiary w jakikolwiek sposób z nim związane tak, że nawet najmniejsza próba ucieczki spotykała się z natychmiastową reakcją. Wydaje się, iż niemal od razu wyczuł, że jego bezpieczeństwo zależy w dużej mierze od normalnego, nie zmienionego zachowania Lawsons, więc zmusił go do tego, żeby codziennie chodził do pracy i opowiadał znajomym, że jego żona pojechała w odwiedziny do przyjaciół, zaś podczas jego nieobecności w domu dzieckiem zajmuje się piastunka.

W chwilach, kiedy robak sondował jego umysł, Lawson odnosił często wrażenie, że intruza w szczególny sposób interesują wspomnienia o Annie, jego tęsknota i rozpacz; czuł się zmuszany do tego, żeby przypominać sobie w najdrobniejszych szczegółach jej postać i ich wspólne życie. Wspomnienia te sprawiały mu niewysłowiony ból, zaś ich owocem była stworzona przez robaka imitacja.

Odebrał Harveya od opiekunki i przygotowywał w kuchni obiad z mrożonek, kiedy otworzyły się prowadzące do piwnicy drzwi; odwrócił się, by ze zdumieniem zobaczyć stojącą w nich Annie. Jednak niemal natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że to nie ona, że to nawet nie ludzka istota, tylko jej potworna imitacja stworzona przez coś, co postrzegało świat oczami, ale nie potrafiło zrozumieć pewnych subtelnych szczegółów i związków, tworzących zindywidualizowany wygląd. Z całą pewnością jednak to m i a ł a być Annie i przyglądając się odrażającemu tworowi nie mógł się powstrzymać, żeby nie zacząć go z nią porównywać, korygując w myślach niedokładności i deformacje. W tej samej chwili na jego oczach twarz imitacji zaczęła się przekształcać i zmieniać zgodnie z jego poprawkami, tak że po kilku minutach stała przed nim niemal idealna kopia jego żony.

Niemal idealna, ale wciąż nie mająca nic wspólnego z człowiekiem. Lawsona ogarnęło potworne przerażenie i czując, że nie jest w stanie tego znieść, otworzył usta, żeby wykrzyknąć z całych sił swój strach, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Robak przejął kontrolę nad jego głosem i nakazał mu milczenie.

Odezwała się natomiast imitacja.

– Jaki... głos? – wyskrzeczwała z trudem, a potem powtórzyła to samo piskliwym falsetem.

To chce się zapytać: „Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie?”, domyślił się Wylie Lawson. Boże, dlaczego?

– Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie? – zapytała imitacja zupełnie normalnym, ludzkim głosem.

Oczywiście, że nie, pomyślał, przypominając sobie, w jaki sposób mówiła jego żona.

– Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie? – powtórzyła po raz trzeci imitacja, tym razem rzeczywiście jej głosem. Lawson poczuł się tak, jakby za chwilę miał zwymiotować albo zemdleć.

– Teraz codziennie będę Annie. I codziennie będę nią lepiej.

To chyba ma znaczyć, że ćwiczenie czyni mistrza, przemknęło mu przez głowę.

– Tak. Ćwiczenie czyni mistrza potwierdził głos Annie.

Tego dnia robak stał się żoną Wylie'ego Lawsons a matką Harveya, i było tak przez dziesięć lat, aż do chwili, kiedy Wylie podjął próbę ucieczki i umarł na asfalcie. Początkowo przez kilka miesięcy mówił wszystkim, że jego żona nie czuje się dobrze i nie życzy sobie żadnych odwiedzin ani telefonów. Potem robak zaczął ostrożnie pokazywać się publicznie, co najpierw bardzo ucieszyło mocno zaniepokojonych przyjaciół, a następnie wprowadziło ich w zdumienie. Zauważyli, że zmieniła się nie do poznania – nie chodziło o wygląd, bowiem nie znać po niej było ani śladu choroby, ale o osobowość. Zniknęły beztronski śmiech, skłonność do najrozmaitszych figli, serdeczna troskliwość, jednym słowem wszystko to, dzięki czemu tak ją wszyscy lubili. Nowa Annie była wyniosła, oziębła, roztargniona, powolna – po prostu

nudna. Niewiele osób żałowało, że przestała w ogóle przychodzić na wieczorne przyjęcia i że ograniczyła wyraźnie swoją obecność na tych, które odbywały się w ciągu dnia.

Codziennie Wylie Lawson wychodził do pracy w odlewni a Harvey do szkoły. Żaden z nich, rzecz jasna, nie mógł nikomu powiedzieć o tym, co ich spotkało, a ich współpracownicy i koledzy z klasy zaczęli powoli uważać ich za dziwaków. Nie mieli przyjaciół: ojciec stracił swoich, zrażając ich do siebie kolejnymi opryskliwymi odmowami, zaś syn nigdy ich nie miał. Mogli liczyć tylko na siebie, wracając codziennie do uroczego, piętrowego domku, w którym rządził robak.

Dzielili jedną sypialnię, żeby móc jak najczęściej ze sobą przebywać, a także dlatego, że Wylie nie potrafił zmusić się do spania w pokoju, w którym mieszkała Annie. Przeszawił łóżko do sypialni Harveya i tam właśnie rozmawiali tak długo, jak tylko mogli. Nie było to dużo: po zachodzie słońca, kiedy robak przybierał swoją zwykłą postać i zagrzebywał się w swej norze, żując pokarm, buszował po umyśle Wylie'ego wchłaniając to, co wydawało mu się interesujące. Po pewnym czasie wydawało się, że poznał już wszystko – nie tylko fakty, ale także emocje, obawy i wspomnienia. Z pewnością wiedział, że przed ucieczką powstrzymywała Lawsona jedynie miłość do syna; Wylie nieraz zastanawiał się nad tym i był przekonany, że zdołałby rzucić się przez okno lub wyskoczyć przed pędzący

samochód, zanim robak zawładnąłby jego kończynami, ale nie uczynił tego, bowiem bał się o swoje dziecko.

Bracia Hodge, sp. z o.o., dbali o własne interesy. Kiedy Wylie Lawson z pełnego entuzjazmu, ambitnego młodego człowieka przeistoczył się nagle w odpracowującego pańszczyzną woła roboczego, nie spuszczonego z oka zegara i całkowicie bezradnego, gdy przychodziło mu zmierzyć się z jakimkolwiek zadaniem wykraczającym poza zwykły zakres jego obowiązków, jego przełożeni zareagowali początkowo troską i zdziwieniem, potem nerwowością i gniewem, a wreszcie rezygnacją. Posadzili go przy biurku, na którym leżał kalkulator, stały dwa pudełka, jedno z napisem DO ZAŁATWIENIA, drugie z napisem ZAŁATWIONE i przydzielili najprostszą, urzędniczą pracę – wypełnianie ksiąg i mechaniczne przekładanie papierków, pożyteczną, ale nieskomplikowaną i nie związaną z niemal żadną odpowiedzialnością. Z roku na rok stawał się coraz bardziej dziwny: niesamowicie chudy, wynędzniały, nerwowy i przygnębiony. Był też coraz bardziej nietowarzystki i zgorzkniały.

Kiedy robak przybierał ludzką postać, wołał porozumiewać się i wydawać polecenia przy użyciu głosu. Nie chciał jednak lub nie potrafił nauczyć się czytać, więc Wylie i Harvey spędzili wiele godzin czytając mu na głos i odpowiadając najlepiej, jak potrafili na dotyczące lektury pytania. Robak oglądał także telewizję i również żądał wyjaśnień. Był niezwykle



dokładny w zbieraniu informacji na interesujące go tematy; po pewnym czasie Wylie zauważył, że jego największą ciekawość wzbudzają zagadnienia związane w jakiś sposób z problemem utrzymania go przy życiu, zapewnienia bezpieczeństwa i utrzymania jego istnienia w jak najściślejszej tajemnicy.

Początkowo próbował czasem go wypytywać, żeby dowiedzieć się czegoś na temat jego pochodzenia i zamierzeń, a takie, czy on i jego syn mieli już na zawsze pozostać jego niewolnikami.

Skąd przybyłeś?

Przybyłem? Nie przybyłem. Tutaj.

Tutaj? Gdzie? Ten kraj? Planeta? Ten dom?

Ten dom. Pod tym domem.

Jak się tam dostałeś? Dostałem? Nie dostałem. Byłem.

Zawsze?

Tak. Chyba nie. Może.

Kim jesteś?

Jestem (obraz robaka w jego naturalnej postaci).

Są jeszcze inni, tacy jak ty?

(Podniecenie). Wystarczy. Koniec pytań.

A więc są.

Wystarczy. Jestem tylko ja. Wystarczy.

I to było wszystko. Jeżeli kontynuował pytania, spotykała go surowa kara. Niewiele więcej osiągnął próbując z innej strony.

Dlaczego nam to robisz?

Żeby się chronić.

Przecież przedtem nic ci nie groziło, prawda? Nikt nie wiedział, że tutaj jesteś.

To konieczne. To... cykl.

Co jest konieczne? Żebyś zajął miejsce ludzkiej istoty? Tak.

Teraz ludzka istota. Ty mnie chronisz.

Ale jak długo jeszcze? Boże, jak długo?

To cykl. To konieczne.

Nigdy nie udało mu się nic więcej dowiedzieć, nie zdołał uzyskać wyjaśnienia, dlaczego dotknęła go ta potworna tragedia. Cierpiał przez długie, ponure lata, nie znając przyczyny pojawienia się robaka, ani powodu, dla którego stał się jego niewolnikiem. Trwało to dziesięć lat, aż wreszcie nie wytrzymał i spróbował się wyrwać.

Policjant odprowadził Harveya do drzwi, zadzwonił i powiedział:

– Przywieźliśmy chłopca, proszę pani. Przykro mi z powodu pani męża. Zawiadomiliśmy już Hostetlera, żeby przyjechał po... Hm, żeby przyjechał. Może pani do niego zadzwonić, żeby wszystko... eee... ustalić. Do widzenia.

Radiowóz odjechał.

Harvey wszedł do domu, poruszając się niczym nakręcana lalka. Robak zatrzasnął drzwi i rozluźnił uchwyt; chłopiec padł bezwładnie na podłogę. Dopiero po kilku minutach zdołał doczołgać się do krzesła i usiadł na nim, ciężko dysząc.

– Teraz porozmawiamy – powiedział robak. – Od tej

pory musisz przejąć rolę swojego ojca i chronić mnie. Będziemy się utrzymywać z pieniędzy za ubezpieczenie. Będziesz dalej chodził do szkoły. Wszystko musi wyglądać normalnie. Nie wolno ci nikomu powiedzieć o moim istnieniu. Gdybyś spróbował, zrobię ci to.

Zdołał już wiele się nauczyć o ludzkim umyśle i uczuciach. Harvey poczuł nagle, że wpada w bezdenną otchłań straszliwej, samobójczej depresji; przez chwilę znajdował się w pustce, którą można było porównać jedynie z przestrzenią międzygwiazdą, w samotności przesyconej bólem, rozpaczą i beznadziejnością. W rzeczywistości był to zwykły stan jego umysłu, wzmocniony i powiększony do maksymalnego napięcia. Nie mógł się z tym równać nawet najgorszy, fizyczny ból. Harvey wiedział z absolutną pewnością, że drugi raz już by tego nie wytrzymał.

– Zrobię, co zechcesz – powiedział. O mało nie dodał: „Będę grzeczny, mamusiu”.

Życie, jakie było, toczyło się nadal i powoli mijały kolejne lata. Zmizerowany, spięty młodzieniec o twarzy wstrząsanej nerwowymi drgawkami uczeszczał pilnie na wszystkie lekcje, najwyraźniej nie przywiązując żadnej wagi do szyderstw, jakich nie szczędzili mu jego koledzy. Po zajęciach natychmiast wracał do domu, gdzie aż do zachodu słońca czytał robakowi książki i odpowiadał na jego pytania. Kiedy robak zagrzebywał się w swojej jamie, zmuszał się do przełknięcia czegokolwiek, odrabiał lekcje, po czym kładł się do łóżka, gdzie zawsze bardzo

długo czekał na sen. Leżał, pogrążony w rozpacz, żalu i nienawiści, starając się z całych sił znaleźć jakieś wyjście, gotów nawet popełnić samobójstwo, przed którym wzdragał się jego ojciec, ale cały czas w najdalszym zakątku swego umysłu czuł leniwą obecność czuwającego bez przerwy strażnika, który zdawał się już być niemal jego nierozzerwalną częścią, towarzysząc mu swoim oślizłym dotknięciem bez chwili przerwy, we śnie i na jawie.

Mieszkali w brudzie, bowiem ani Harvey, ani robak nie mieli pojęcia o tym, jak należy dbać o dom. W powietrzu unosił się przykry odór, a każda powierzchnia była pokryta grubą warstwą kurzu. Kuchnia stanowiła jeden śmietnik, pełen brudnych naczyń, gnijących odpadków i najróżniejszych resztek. Trawnik zarósł chwastami, okna kurzem, aż wreszcie nic prawie nie było przez nie widać, zaś nie naprawiana dziura w dachu powiększała się po każdej ulewie. Psuły się kolejne urządzenia, ale nikt się o to nie troszczył. Dywany zrobiły się śliskie, wszędzie wałały się sterty śmieci. Harvey kąpał się tylko w szkole, po gimnastyce, zaś podczas wakacji nie kąpał się w ogóle. On również cuchnął. Wiedział o tym, ale było mu wszystko jedno.

Skończywszy szkołę nie poszedł ani do pracy, ani na studia. Żył jak pustelnik, opuszczając swoją zaniedbaną samotnię tylko po to, żeby kupić coś do jedzenia dla siebie i warzywa dla robaka. Mając dwadzieścia trzy lata przedstawiał sobą zaiste dziwny widok: nędznie ubrany,

cuchnący strach na wróble, dotknięty jękami, nerwowymi drgawkami i paraliżującą nieśmiałością. Mimo to ów zdecydowanie nieatrakcyjny osobnik znalazł, usidlił i pokazał mieszkańcom miasta tak oszałamiającą piękność, iż wszyscy byli pewni, że przybyła prosto ze świata filmu i telewizji.

Rzecz jasna, był to robak. Pewnego dnia wezwał Harveya i powiedział:

– Nadszedł czas. Twoja matka teraz umrze, a ty niebawem znajdziesz sobie żonę. Zadzwoń do... – sięgnął do jego pamięci, żeby znaleźć odpowiednie słowo – ...przedsiębiorcy pogrzebowego. Powiedz mu, że twoja matka umarła i żeby przyjechał ją pochować.

Harvey wpatrywał się w robaka ze zdumieniem.

– Umarła? Pochować? Jak to? Czy to znaczy, że ty... Że ty umrzesz?

– Mam ciało – odparł robak. – Przyniosłem je. Leży w kuchni. Idź i zobacz.

Na podłodze w kuchni leżało ciało jego matki. Ręce miała przyciśnięte do boków, oczy zamknięte, a twarz i ubranie pokryte grubą warstwą kurzu. Harvey przyjrzał się jej uważnie.

– Ona żyje! – wykrzyknął w pewnej chwili.

Na ciele nie było widać żadnych oznak śmierci, nie mówiąc już o upływie dziesięciu lat. Pod warstwą kurzu policzki wciąż jeszcze były rumiane, a ciało wydawało się jędrne i zdrowe. Wyglądała bardzo młodo.

– Nie żyje – powiedział robak. – Nie żyje od dziesięciu

lat. Zakonserwowałem jej ciało.

– Ale dlaczego? – zapytał przez łyży Harvey. – Dlaczego chcesz ją teraz pochować?

– Zadzwoń do przedsiębiorcy – powtórzył robak, a ta jego część, która na stałe zamieszkała w umyśle Harveya, poruszyła się ostrzegawczo.

Harvey zrobił, co mu kazano.

Kiedy wrócił po pogrzebie do domu; zastał robaka wciąż w znienawidzonej postaci fałszywej matki.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał. – Przecież przed chwilą cię pochowaliśmy. – Był to chyba jedyny, ponury żart, jaki powiedział w swoim życiu.

– Ostatni raz – odparł robak. – Teraz będę kimś innym. Będiesz miał żonę.

– Żonę? Ale jeśli zależy ci tylko na tym, żeby tu mieszkać, to czy t o ci nie wystarczy? Przecież możesz wyglądać jak... Tak, jak teraz.

– Wrócę do mojej jamy – powiedział robak. – Nikt nie może zobaczyć mnie w tej postaci. Będiesz przynosił mi jedzenie, tak jak zawsze.

Po dwóch miesiącach powrócił jako telewizyjne bóstwo. Tym razem nie musiał eksperymentować z twarzą i głosem; bóstwo pojawiło się w pełni uformowane, cudowne, o uwodzicielskim, łagodnym głosie. Stanowiła połączenie cech najwspanialszych aktorek i była doskonale piękna. I doskonale ludzka, ale o tym można się było przekonać dopiero spędziwszy jakiś

czas w jej towarzystwie, a poza domem pokazywała się rzadko i nieregularnie.

Zmiana nie wpłynęła w żaden sposób na życie Harveya. Podczas dwóch miesięcy, które robak spędził w swojej jamie, lepki dotyk w mózgu był wciąż taki sam, zaś polecenia, choć może nieco rzadsze, nie straciły nic ze swojej bezwzględności. Nowe przebranie ciemżyciela nic dla niego nie znaczyło; w imitacji nie widział olśniewającej piękności, podziwianej przez innych ludzi, podobnie jak wcześniej nie widział w niej swojej matki. Nawet na nią nie patrzył, bo przecież była z nim zawsze, niezależnie od tego, jak wyglądała. Nie mógł się uwolnić od obecności robaka, a jego fizyczna postać nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Czekało go jeszcze siedem lat, siedem lat ukradzionych z jego życia, z jego człowieczeństwa. W chwili, kiedy nadszedł koniec, miał dwadzieścia siedem lat, z czego dwadzieścia trzy spędził we władzy robaka. Nigdy nie umówił się na randkę z dziewczyną, nie spędził ani jednej nocy poza swoim zrujnowanym domem, nie przeczytał żadnej książki dla własnej przyjemności, nigdy z nikim się nie zaprzyjaźnił. Prawie oduczył się mówić; rzadko widywał kogokolwiek oprócz robaka. Była to ponura, beznadziejna parodia życia.

Nadszedł dzień, kiedy robak powiedział:

– Jutro jedziemy. Dopilnuj, żeby samochód był w porządku.

Nie było w tym nic niezwykłego; od czasu do czasu

Harvey zabierał żonę do miasta na zakupy, albo sam jeździł po stanowiące pokarm robaka warzywa. Przypuszczał, że te wycieczki miały na celu nadanie ich życiu pozorów normalności i nie dopuścił do tego, żeby zaintrygowani mieszkańcy miasta doszli do wniosku, że trzeba przyrzeć się dokładnie temu, co się dzieje w domu Lawsonów.

– Fatalna pogoda – powiedział.

– Zajmij się samochodem – powtórzył robak.

Harvey poszedł do garażu i uruchomił silnik. Stary samochód był bardzo zaniedbany – wydawał różne dziwne odgłosy i potwornie kopcił, ale działał. Harvey drżąc z zimna siedział za kierownicą, aż niepokojące odgłosy ucichły, a dym nieco się przerzedził, po czym wyłączył silnik i brnąc przez śnieg powlókł się do domu.

– Naprawdę fatalna pogoda – powiedział do robaka. Nie otrzymał odpowiedzi.

Następnego dnia śnieg ciągle padał, a w dodatku zerwał się porywisty wiatr. W telewizji powiedzieli, że temperatura spadła do dwunastu stopni Fahrenheita.

– Opony są prawie zupełnie łyse, bez bieżnika – powiedział Harvey. – Będziemy się ślizgać. A w tym śniegu widoczność jest bardzo kiepska.

– Masz rację. Zobaczę, może śnieg przestanie padać.

Po południu nic się nie zmieniło.

– Nie mogę dłużej czekać – oświadczył robak. – Uruchom samochód.

Harvey prowadził ostrożnie w białej zamieci.



– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Na cmentarz. Na grób twojej matki.

Harvey myślał, że nie jest już zdolny do żadnych uczuć oprócz nienawiści, wściekłości i żalu, ale tym razem jeszcze raz poczuł zdumienie.

– Nie wiem, czy trafię – powiedział. – Byłem tam tylko dwa razy.

– Zapytamy kogoś.

Okazało się, że jednak pamięta drogę, która zresztą wcale nie była skomplikowana: prosto Donley Street, a potem wyboistą, boczną drogą do samego cmentarza – w sumie jakieś pięć lub sześć mil. Samochód prychał, czekał i zarzucał na zakrętach. Było bardzo zimno. Dmuchawa prawie nie działała, a zimny wiatr wciskał się do środka przez szpary w przerdzewiałych drzwiach i podwoziu. Harvey szczeptał zębami, nie czując prawie zaciśniętych na kierownicy dłoni i spoczywających na pedałach stóp. Zerkał na robaka, zastanawiając się, czy jemu też dokuczał przenikliwy mróz.

Pokonanie tych kilku mil zajęło im ponad godzinę. Droga prowadziła głównie z góry, dzięki czemu mogli nabrać dość rozpędu, żeby pokonać nieliczne podjazdy. Kiedy zatrzymali się przed bramą cmentarza, Harvey czuł pod pachami i na dłoniach krople lodowato zimnego potu.

Robak wysiadł z samochodu; przez chwilę stał bez ruchu, po czym ruszył zdecydowanym krokiem przez sięgający powyżej łydek śnieg. Szedł idealnie prosto, jakby wiedział dokładnie, dokąd się kieruje. Zniknął w

zamieci, a Harvey wygramolił się na zewnątrz i zaczął przytupywać, usiłując się, rozgrzać uderzeniami ramion.

Po godzinie robak pojawił się nagle wśród szalejącej burzy i usiadł na swoim miejscu. Głowę i ramiona miał pokryte śniegiem. Jedź już. Szybko. Myślał do niego, nie mówił. W sposobie, w jaki wydał to polecenie było coś nowego, czego na razie jeszcze Harvey nie potrafił nazwać. Może zmęczenie?

– Po co tam poszedłeś? – zapytał.

To było konieczne. Ważne. Milcz. Pośpiesz się.

W tę stronę zjeżdżali z góry, więc z powrotem czekały ich głównie podjazdy. Łyse opony ślizgały się, buksowały, a chwilami w ogóle traciły przyczepność. Harvey musiał wtedy ostrożnie cofać i ponownie atakować wzniesienie, biorąc rozpęd na w miarę równym odcinku drogi. Była to ciężka i irytująca praca, więc nic dziwnego, że kłębiąca się od tylu lat w jego duszy wściekłość zwróciła się na moment przeciwko drodze i samochodowi. Po dwóch nieudanych próbach pokonania bardziej stromego niż inne pagórka cofnął się, żeby spróbować po raz trzeci, kiedy usłyszał kategoryczne, niemal bolesne polecenie: Szybciej. Musisz wjechać. Jego wściekłość sięgnęła zenitu.

– W porządku! Dobra, ty śmierdzący robalu! – ryknął. Wdusił pedał gazu w podłogę. Jakimś cudem koła odzyskały przyczepność i samochód ruszył pod górę. W trzech czwartych podjazdu koła zaczęły znowu buksować; należało w tym momencie zmniejszyć moc silnika, ale

Harvey nie potrafił już logicznie myśleć i nie uniósł stopy. Koła obracały się coraz szybciej, aż wreszcie tył samochodu zaczął uciekać w bok. Harvey cały czas nie zmniejszał gazu i silnik wył na najwyższych obrotach. Poślizg trwał nadal i w pewnej chwili samochód stanął w poprzek szosy.

W tym samym momencie robak zorientował się w grożącym niebezpieczeństwie i błyskawicznie przejął całkowitą kontrolę nad ciałem Harveya. Jego stopa zwolniła pedał gazu, przenosząc się na hamulec. Silnik zgasł, samochód zaczął toczyć się do tyłu, coś łupnęło, jeszcze raz, tylne koła wjechały do rowu, po czym zapadła cisza.

Harvey siedział bez ruchu, porażony odrazą i szokiem, a potem jego ciałem zaczęły targać potworne skurcze. Robak wysłał do jego ciała impuls znacznie silniejszy, niż był w stanie przyjąć; przestała działać koordynacja mięśni, więc polecenie uruchomienia silnika zaowocowało jedynie gwałtownymi ruchami nadgarstka i zmianą wysokości niesamowitego dźwięku, który cały czas wydobywał się z ust Harveya. Robak zauważył to i na chwilę całkowicie się wycofał, pozostawiając go obolałego i zadyszanego. Kiedy zorientował się, że Harvey wraca do sił, natychmiast, zdesperowany i natrętny, pojawił się w jego umyśle.

Musimy natychmiast wracać do domu. Za godzinę zajdzie słońce. Wydostań nas stąd.

Harvey wysiadł i obejrzał zagrzebane w rowie koła.

– Nic z tego. Muszę iść po pomoc.

Nie. Nie, nie, nie. Wydostań nas.

– Mówię ci, że nic z tego. Przecież wiesz, bo jesteś w mojej głowie.

Więc idź. Szybko. Szybko. Czuł wyraźnie desperację i... czyżby strach?

Sprawiło mu to przyjemność.

– Wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł – powiedział.

Miał zamiar iść bardzo wolno, żeby maksymalnie przedłużyć jego niepewność, ale robak odebrał mu władzę nad ciałem i zmusił do szybkiego biegu. Od chwili ostatniego przejazdu pługą dopadało dwa lub nawet trzy cale śniegu i teren był bardzo trudny, szczególnie dla takiego prowadzącego siedzący tryb życia i żywiącego się ochłapami lektora książek jak Harvey. Po przebyciu ćwierć mili płuca i nogi odmówiły mu posłuszeństwa; szlochając i chwytając łapczywie powietrze padł bez sił na drogę.

Robak, teraz już bez wątpienia przerażony, szalał w jego umyśle. Wstawaj! Wstawaj! Biegnij! Harvey zaczął się czołgać, ale niemal od razu zerwał się na nogi i ruszył biegiem. Zanim upadł, zdążył pokonać zaledwie kilka stóp. Ponownie zerwał się, ale tym razem przewrócił się niemal natychmiast. Jego nogi i ręce nie przestawały się poruszać, chociaż w znacznej części były to ruchy zupełnie bezproduktywne. Znowu się podniósł...

Potem już tylko się czołgał. Coś stało mu na drodze; próbował to odsunąć, ale nie mógł. Potrząsnął głową i

zamrugnął, żeby zobaczyć, co to jest. Słup. Niedobrze. Nie da rady przesunąć słupa. Spojrzał wyżej i dostrzegł wiszącą na skapie skrzynkę pocztową. Skrzynka. Gdzieś w pobliżu musi w takim razie być dom. Może mają ciągnik. Szybciej, szybciej, krzyczał rozpaczliwie robak.

Jęcząc i łkając zatoczył się w kierunku drzwi. Zaczął walić w nie pięścią, a kiedy otworzyły się, runął po raz kolejny na ziemię i stracił przytomność.

Odzyskał ją na chwilę w karetce. Słyszał myśli robaka: Jest za późno słońce zachodzi umrę jeżeli nie znajdę ciepłego miejsca nie mogę w mojej prawdziwej postaci żyć na zimnie słońce zachodzi umieram... Ponownie ogarnęła go błogosławiona ciemność.

Obudził się w szpitalu, w ciepłym pokoju, w miękkim łóżku, koło którego stała ładna pielęgniarka.

– Co się stało? – zapytał.

– Zemdłał pan wczoraj wieczorem przy farmie Detweillerów. Sam wezwał karetkę.

– A co mi... Co mi jest?

– Właściwie nic. Zemdłał pan z powodu zimna i wyczerpania. Lekarz mówi, że jest pan w nie najlepszej formie. Musi pan dużo jeść i zażywać ruchu, ale to nic groźnego. Lekarz przyjdzie około dziesiątej. Myślę, że pana wypisze. Wyszła z pokoju.

Harvey rzeczywiście czuł się dobrze, nawet bardzo dobrze, niemal znakomicie. Czegoś mu jednak brakowało, czegoś, bez czego nie był zupełnie sobą... Oczywiście, że nie był sobą. Do tej pory zawsze czuł się

podle, a teraz czuł się świetnie. Dlatego, że...

Dlatego, że robak wyniósł się z jego umysłu. Boże, on naprawdę zniknął! Lepki dotyk, obrzydliwa obecność towarzysząca mu od czwartego roku życia – wszystko zniknęło! Robak odszedł! A może... Czy to możliwe? Może zginął? To by było dopiero wspaniale!

Zjadł z wilczym apetytem nędzne, szpitalne śniadanie, wziął od lekarza wypis i pomaszerował do domu. Zdumiała go ruina, w jakiej się znajdował. Kiedy wszedł do środka, zaszokował go panujący w środku brud, smród i nieporządek. Zerknął przypadkiem do lustra i niemal załamał się swoim niechlujnym wyglądem. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jeszcze wczoraj wszystko wydawało mu się zupełnie normalne. Teraz nareszcie mógł rozkoszować się wolnością.

Ciesząc się, wciąż jeszcze nie był w stanie do końca uwierzyć w jej nadejście. Kiedy zaglądał po kolei do wszystkich pomieszczeń w domu, jakby widząc je po raz pierwszy, przyłapał się na tym, że cały czas oczekuje w napięciu na niespodziewane polecenie lub karę. Robak wyniósł się z jego umysłu, to prawda; ale czy na pewno nie żył? Musiał się co do tego upewnić.

Nie był przyzwyczajony do samodzielnego rozwiązywania problemów, bo nigdy w życiu nie musiał tego robić. Dojście do wniosku, że osiągnąć swój zamiar może tylko wtedy, jeśli odszuka samochód, zajęło mu sporo czasu. Zaraz zresztą pojawiła się nowa zagadka: jak ma tam dotrzeć. Ostatecznie postanowił wziąć taksówkę i

niebawem znalazł się przy swoim samochodzie, zepchniętym tymczasem do rowu przez pług śnieżny.

Samochód był pusty. Drzwi po stronie pasażera były szeroko otwarte i na siedzeniu oraz na podłodze nagromadziło się sporo śniegu. Obszedł samochód dookoła; żadnego śladu, śnieg po obydwu stronach drogi był nienaruszony, ale to nic nie znaczyło; robak mógł opuścić samochód – i zapewne tak uczynił – kiedy jeszcze trwała zamieć. Dokąd mógł pójść?

U podnóża drugiego wzniesienia, w odległości kilkuset jardów zaczynała się czarna ściana lasu; jeżeli ma szukać, to równie dobrze może zacząć właśnie stamtąd. Popędził w dół zbocza i wszedł między drzewa.

Śnieg był tutaj znacznie płytszy, a po pewnym czasie Harvey dostrzegł podejrzenie symetryczny pagórek. Zaczął kopać; niebawem jego dłonie natrafiły na coś twardego. Ze zdwojoną energią odrzucał śnieg, odsłaniając skryty pod nim przedmiot.

Robak. Czerwonobrazowy, chitynowy pancerz zdawał się świecić własnym blaskiem. Harveya ogarnęła panika, podchodząc mu do gardła falą mdłości, wprawiając w drżenie kończyny i pozbawiając resztek sił, tak że z trudem mógł utrzymać się na nogach. Nie rzucił się jednak do ucieczki; został, wpatrując się z zapartym tchem w swego wroga. Robak nie poruszył się. Z pewnością nie żył. Zacisnął zęby, objął go oburącz i z całej siły szarpnął go do góry.

Okazał się niespodziewanie lekki, niemal nieważki.

Przeleciał kilka stóp w powietrzu i upadł na grzbiet. Harvey spał się cały do ucieczki – niewiele by mu dała, gdyby robak dysponował swoją dawną mocą – ale nic się nie stało. Powoli; krok za krokiem podszedł i przykucnął, nachylając nisko twarz.

Skorupa była pusta.

Nie żyje! Wszystko jedno, zjedzony przez zwierzęta, czy zniszczony działaniem nieznanymi reakcji chemicznych. Nie żyje!

Mógł wreszcie odpłacić za długie lata przerażenia, frustracji i tłumionej nienawiści; w radosnej, bezmyślnej gorączce kopnął skorupę, a potem skoczył na nią, tłukąc z całej siły ułamaną z powalonego drzewa gałęzią. Okazała się cienka i bardzo krucha, być może z powodu zimna; trzasnęła, rozpadając się na niezliczone, rozsypane w śniegu fragmenty. Nie żyje!

I taki już pozostał, chociaż Harveya często chwycił w swe szpony potworny lęk, że robak może znowu się pojawić. Kiedy jednak czas mijał i nic nie wskazywało na taką możliwość, ataki strachu stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie nawiedzały go od przypadku do przypadku jedynie w nocy, kiedy robak pojawiał się w przerażających snach. Harvey budził się wtedy, wstawał z łóżka i spacerował po domu, znajdując ukojenie w czystości i porządku, panujących we wszystkich pomieszczeniach. Postukał w betonową plombę, która wypełniała dziurę w ścianie piwnicy, obejrzał dokładnie



swoją twarz w lustrze, przejrzał wiszące schludnie w szafie ubrania, a czasem wziął prysznic i ogolił się. Wszystko to pomagało mu odzyskać równowagę; potrzebował fizycznych dowodów swego nowego życia i odzyskanej wolności.

Przemiana w normalnego człowieka nie była łatwa, ani też nie mogła zakończyć się całkowitym sukcesem. To, co się z nim działo, trwało zbyt długo i za wcześnie się zaczęło. Zawsze już miał pozostać trochę dziwny: nie bardzo potrafił zachować się w towarzystwie innych ludzi, ani oni w jego, nie umiał płynnie mówić i precyzyjnie myśleć, nie był w stanie osiągnąć długotrwałej koncentracji, niezbędnej podczas nauki. Mimo to uczynił znaczne postępy na drodze ku temu, żeby stać się normalnym obywatelem. Znalazł pracę (wspaniałomyślni bracia Hodge zatrudnili go jako chronometrażystę), próbował czytać najróżniejsze samouczki, zajął się kręglami i pielęgnacją swego trawnika, stał się miłośnikiem filmów komediowych i z samozaparciem usiłował rozbudzić w sobie zainteresowanie zawodowym futbolem.

Bardzo chciał być normalnym; przeciętnym człowiekiem. Chciał zapomnieć o czasie, kiedy znajdował się we władzy robaka. Co prawda nie było to możliwe, ale kiedy zaczął chodzić do kościoła (a nigdy wcześniej tam nie bywał), przekonał się, że nawet pierwsze, niezobowiązujące kontakty z wiarą stanowią dla niego wielką pomoc w rozprawieniu się z okrutną przeszłością.

Nadeszła i minęła kolejna zima. Nocne koszmary pojawiały się już bardzo rzadko, a w pracy Harvey dostał podwyżkę. Stosował dietę przepisaną w książce, którą polecano w jakimś telewizyjnym show, co w połączeniu z fizyczną pracą przy sprzątanii domu i pielęgnacji trawnika przyczyniło się do wyraźnej poprawy jego kondycji fizycznej. Powoli uczył się uśmiechać, a nawet zaczął nieśmiało adorować pewną pracującą razem z nim w odlewni kobietę – prostą, trochę skrytą, podobną do niego. Widywał ją codziennie w pracy, a każdej niedzieli w kościele i sądził, że może być dobrą żoną. Jej niczym nie wyróżniającą się urodę uważał za jedną z jej zalet; doświadczenia z robakiem uprzedziły go do olśniewających piękności.

Zacząli jadać wspólnie lunch w niedzielę po mszy, czując się w swoim towarzystwie coraz bardziej swobodnie i przekonując się, że im dłużej ze sobą rozmawiają, tym więcej mają sobie do powiedzenia. Każde z nich chciało wiedzieć wszystko o tej drugiej, cudownej osobie.

Jedna z rozmów dotyczyła rodziców.

– Oboje nie żyją – powiedział Harvey. – Dlatego mieszkam sam.

– Tak mi przykro. Czy... Czy to już dawno?

– Jak miałem siedemnaście lat. – Prawdziwe okoliczności były zbyt skomplikowane, żeby miał je teraz wyjaśniać, a zresztą nawet gdyby spróbował jej o wszystkim opowiedzieć, bez wątpienia wzięłaby go za

szaleńca.

– Czy są tutaj pochowani? – zapytała.

Harvey skinął głową.

– A troszczysz się o ich groby? Wyrywasz chwasty i w ogóle?

Była to rzecz, która nigdy nie przyszła mu na myśl; jedna z luk w jego wiedzy o tym, jak żyją ludzie.

– Nie – odparł. – Nie wiedziałem, że powinienem.

– W takim razie pójdziemy tam w następną sobotę – powiedziała. – Nie można zaniedbywać ich grobów.

– Dobrze – skinął głową Harvey. Kocham ją, pomyślał. Nauczy mnie wszystkiego, o czym powinienem wiedzieć. Dzięki niej stanę się normalnym człowiekiem.

Wzięli ze sobą rydło, nożyce, motykę, grabki, dwa kwiaty w doniczkach, sierp i drugie śniadanie. Harvey nie miał pojęcia, gdzie znajdują się groby, ale cmentarz nie był zbyt wielki i na mogiłę jego ojca natrafili po bardzo krótkich poszukiwaniach. Ponieważ od dwudziestu lat nikt się nią nie opiekował, była pokryta płataniną martwych i żywych chwastów, sprawiając wrażenie opuszczonej i zapomnianej.

O, Boże. Bierzmy się do pracy.

Po kilku godzinach grób zmienił całkowicie swój wygląd. Wrócili wówczas do samochodu, wyjęli jedzenie i rozłożyli koc na trawie w zacienionym miejscu. Panowała tam niezwykła cisza, przerywana jedynie rozlegającym się co chwila śpiewem ptaków. Harvey poczuł, jak ogarnia go fala zadowolenia i spokoju, uczuć

których nigdy do tej pory nie dane mu było zaznać.

– Kocham cię – odezwał się niespodziewanie. – Bardzo cię kocham. Wyjdiesz za mnie?

A ona odpowiedziała:

– Oczywiście, Harvey.

Objęli się mocno; dwoje życiowych rozbitków, którzy na przekór wszystkiemu odnaleźli w sobie kogoś, kogo warto było kochać.

Nagle znalazła się cała masa spraw, które trzeba było natychmiast omówić, więc kiedy przypomnieli sobie, że mają jeszcze coś do zrobienia, słońce chyliło się już ku zachodowi. Schowali koszyk z resztkami posiłku do samochodu, po czym wyruszyli na poszukiwanie grobu jego matki.

Żadne z Lawsonów nie miało w miasteczku rodziny, a że oboje umarli w młodym wieku i nie zdążyli zatroszczyć się o miejsce pod rodzinny grobowiec, pochowano ich w dużej odległości od siebie, na przeciwległych krańcach cmentarza; ta jego część, w której leżała jego matka, została otwarta krótko przed jej pogrzebem. Tu właśnie przyszedł robak, żeby złożyć w jej brzuchu jajko.

Zwłoki matki Harveya nie były w gruncie rzeczy zwłokami; przez te wszystkie lata tliło się w niej spowolnione w niewyobrażalny sposób życie, podtrzymywane dzięki wstrzykniętemu przez robaka jadowi. Miała żyć, aby dostarczyć pokarmu małej, uzbrojonej w potężne zęby istocie, która wykluła się z jaja

i zaczęła jeść. I rosnąć.

Tego ciepłego, czerwcowego popołudnia szli przez cmentarz trzymając się za ręce i odczytując napisy na nagrobkach.

– Za wolno nam to idzie – powiedziała po pewnym czasie. – Rozdzielmy się i szukajmy w różnych miejscach.

– Dobry pomysł – odparł. Były to ostatnie słowa, jakie ktokolwiek od niego usłyszał:

Zakończywszy poszukiwania na obszarze, który sobie wyznaczyła, obejrzała się, żeby sprawdzić, jakie postępy poczynił Harvey. Stał bez ruchu, wpatrując się w jedną z mogił.

– I jak tam? – zawołała. – Znalazłeś?

– Nie odpowiedział. Pospieszyła w jego kierunku, a gdy się przy nim znalazła, spojrzała na tabliczkę; to był rzeczywiście grób jego matki. Przeniosła wzrok na niego i wtedy zaczął się koszmar.

Jego twarz była pusta, bez żadnego wyrazu.

– Harvey? – zapytała nieśmiało, a potem głośniejszym, z przerażeniem: – **Harvey?**

Nie zareagował ani teraz, ani nawet później, kiedy krzyczała, szarpiąc go za ramię i gdy w popłochu pobiegła do samochodu, żeby sprowadzić z miasta pomoc.

Przyjechał ambulans i zabrał nieszczęsnego katatonika, którego umysł nie był w stanie znieść szoku, jaki wywołał ohydny, przerażająco znajomy głos, który przemówił do

niego z grobu. Nie miał żadnych szans na ucieczkę. Jego świadomość natychmiast się cofnęła, zagrzebując się błyskawicznie w pokładach umysłu, coraz głębiej i głębiej, bezustannie się kurcząc, aż wreszcie była już tylko drobnutkiem pyłkiem unoszącym się w najgłębszej, najczarniejszej otchłani. I tam miała pozostać.

A prosta, młoda kobieta, która właściwie owdowiała zanim jeszcze zdążyła wyjść za mąż, powróciła do szarego, bezcelowego życia, jakie prowadziła zanim spotkała Harveya, rozpaczając nad straconymi tak nagle nadziejami. Opłakiwała go tak, jakby nie żył – bo pod każdym względem można go było uznać za martwego – i pogodziła się z tym, że jedyna okazja na to, żeby zaznać w życiu trochę szczęścia, zgasła wraz ze światełkiem płonącym w jego umyśle. Stała się nawet jeszcze bardziej ekscentryczna niż do tej pory.

W rok później zjawiała się na cmentarzu z kwiatami, które chciała złożyć na mogiłach rodziców Harveya, pragnąc w głębi duszy (choć bała się do tego przyznać nawet przed sobą), żeby jeden z tych grobów był także i jego grobem, dzięki czemu te kwiaty byłyby również dla niego. Położyła bukiet na mogile ojca, po czym przeszła do drugiego grobu, uczyniła to samo i zatrzymała się na chwilę z pochyloną nisko głową.

Stojąc samotnie w spowijającej cmentarz ciszy drgnęła nagle i wyprostowała się, sztywna niczym posąg. Niespodziewanie, bez żadnego uprzedzenia jej umysłem

zawładnęła emanująca z grobu moc, a obcy, ohydny głos wyszeptał: Teraz powiem ci co masz robić.

Cykl trwał nadal.